



HELENA SEKUŁA



**SREBRNA
MONETA**

Helena Sekuła

SREBRNA MONETA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-17-5

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

– ...Nie wiem, dlaczego, ale zanim to zrobię, chcę jeszcze usłyszeć ludzki głos... Swoją drogę muszę ukończyć sama, nikt mi w tym nie pomoże, więc nie wiem, dlaczego mówię właśnie do was... Widocznie dopóki człowiek oddycha, wciąż jeszcze czegoś pragnie, a to jest moje ostatnie pragnienie, które się spełniło, bo nie odkłada pan słuchawki, nie przerywa mi, milczy i słucha... Czuję to, słucha mnie pan bardzo uważnie... Człowiek odchodzący na tamten mroczny brzeg, skąd nikt nigdy jeszcze nie wrócił, taki człowiek jest godny uwagi bardziej aniżeli ktoś szukający u was chwilowej pomocy. I może nawet wstyd panu za tę ciekawość, może jej pan nawet nigdy w sobie nie przeczuwał... Siedzi pan teraz pewnie w jakimś fotelu, niewątpliwie za biurkiem, z pudełkiem telefonu w zasięgu ręki i... bardzo możliwe, że kiedyś, zanim pan przy tym biurku usiadł, wierzył pan w swoje posłannictwo i to skłoniło pana do ukończenia wymaganych, nie mogą powiedzieć przydatnych, przy tym zajęciu studiów... A więc panie...

– Majewski, nazywam się Łukasz Majewski... – psycholog Telefonu Zaufania skinieniem ręki przywołuje koleżankę, zajęłą przy sąsiednim biurku, pisze na kartce: *Kandydat na samobójcę. Sprawdź, jaki numer na linii!*

Dziewczyna momentalnie wychodzi z pokoju.

– ...święty Łukaszu ewangelisto, magistrze spraw ostatecznych, niech pan powie szczerze, ale tak szczerze, jak to powinno powiedzieć się człowiekowi przed śmiercią, dlaczego tkwi pan tam, w jakimś świeckim konfesjonale i spowiada laickich desperatów, niedoszłych samobójców, rozchwianych nadwrażliwców i histeryków, dlaczego pan tam siedzi? Naprawdę pan wierzy, że pomaga pan światu... no, może nie całemu światu, ale temu miastu, tej ludzkiej termitierze, gdzie przeszło milion jadowitych i bezwzględnych mrówek walczy ze sobą nieustannie, zjada się, okalecza, wariuje, unicestwia? A pan chce temu zapobiec za pomocą dobrej woli i telefonicznego kabla?

– Dziewczyno...

– Iza, proszę pana, Izabela Białoń. Przedstawiam się, chociaż to już i tak jest bez znaczenia... Niech się pan przyzna, niby się pan przejmuje zagrożonym tworem natury, tą trzcina myślącą, to chyba Pascal, prawda? Więc niby obchodzi pana, co mam do powiedzenia, a to tylko dlatego, aby ktoś inny zdążył zbadać, skąd dzwonię, tak?

– Chcę pani pomóc i jestem wdzięczny za ten łut zaufania, bo jednak zadzwoniła pani do nas.

– Nie mam nikogo bliskiego, dlatego zadzwoniłam do was.

– Czasami łatwiej zwierzyć się nieznajomemu.

– Tak, ma się mniej oporów, to jak rozmowa w pociągu z przygodnym towarzyszem podróży, tylko że ja zaraz wysiadam... I nie mam się właściwie z czego zwierzać. Miałam szare, nieudane życie, nie było w nim szczęścia. Ani jedno z moich pragnień nie ziściło się. Może były zbyt ambitne? I dlatego. Nie wyszło, nic mi nie wyszło, rozumie pan? Tylko niech mi pan nie mówi, że każdy jest kowalem swego losu...

– Nie mówię.

– Każdy jest więźniem swego losu... Pomyślał pan: tania filozofia, tak? Proszę nie kłamać, nie godzi się okłamywać umierającego, niech więc pan powie, co pan pomyślał!

– Pomyślałam, że nie wszystko jeszcze stracone, jeśli człowiek szuka innego człowieka, chociażby tylko za pośrednictwem telefonu... Więc nie utracił jeszcze zupełnie nadziei.

– Atawizm, resztki instynktu.

– Wola życia. Posłuchaj mnie, być może to tylko chwilowa depresja, nie poddawaj się jej biernie, musisz się bronić, pomogę ci! To nie są tylko słowa, masz tu przyjaciół... Słyszysz mnie? Iza! Izabela... Iza, odezwij się... mów ze mną, to także obrona!

– Wypiłam kieliszek koniaku. Nie, jeszcze nie z t y m... Jeszcze mam trochę czasu, ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

– Jakie?

– Chcesz mi przeszkodzić?

– Tak.

– To przecież niemożliwe, wystarczy, abym odłożyła słuchawkę.

– Iza, obraziłaś się na życie? Chcesz zniszczyć je, raz dane, niepowtarzalne, zniszczyć pod wpływem niepowodzeń, może rozpaczy, a może tylko nastroju zrodzonego z samotności...

– Każdy ma swoją miarę, moja jest już wypełniona po brzegi. Możliwe, że w twojej to byłaby tylko kropla, mała kropla podkreślająca smak życia jak ostra przyprawa. Nic nie wiesz o samotności, o m o j e j samotności, bo każda samotność jest inna, tak jak ja nic nie wiem o twojej... Może ty zabijasz swoją samotność za pomocą telefonu stojącego tam na twoim biurku? Wypełniasz ją nieudanymi losami ludzi, co szukają u was ratunku, oparcia i przez to czujesz się mniej samotny i mniej nieszczęśliwy... Przygnębiająca jest jesień, deszcz i ten okropny wicher... Czy to prawda, że najwięcej samobójstw ludzie popełniają w listopadzie?

– Prawda.

– Dręczy mnie wycie wiatru, od wielu dni odbiera sen... Targa drzewa w ogrodzie. Bezlistne gałęzie wyglądają jak szubienice...

– Masz pod oknem drzewa?

– Tak. Dom stoi w dużym ogrodzie, bo to dom z czasów, gdy działki, parcele, jak je wtedy nazywano, nie były jeszcze wielkości łąty na dzinsach. Należy do ludzi, którym się wszystko w życiu udało, nawet nie domyślasz się, jak bardzo. Teraz będą mieli kłopot, bo stracą dobrą służącą, czyli pomoc domową, jak się obecnie mówi, ale wiadomo, nazwa nie zmienia istoty rzeczy.

– Zawód jak każdy inny.

– Nie żartuj, cóż to za zawód? Kuchta! Kiedyś tak się o nich mówiło, truły się esencją octową, gdy je porzucali strażacy. I ja jestem kuchtą, i także się truję, tyle że nie esencją octową i nie przez strażaka... Oto jak się zmieniają obyczaje...

– Posłuchaj mnie, Iza...

– Jeszcze słucham! Czy wszyscy kandydaci na samobójców są tak gadatliwi? I naprawdę bierzesz mnie poważnie? Może jestem zwykłą histeryczką albo udaję? Nikt wam nigdy nie zrobił kawału?... – głos się łamie, Łukasz słyszy stłumiony szloch i coś jakby dźwięk szkła. Trwa przykuty do słuchawki, łowił słabe odgłosy życia docierające z tamtej strony przewodu i myśli, że jeśli tamten człowiek odezwał się sam, to on, Łukasz, ma szansę, aby go powstrzymać i odwieść od samouniżenia.

Czy znalazł właściwy ton i jakich słów potrzeba, aby dotarły do tej dziewczyny? Ma wrażenie, jakby ona była odgradzona od niego niewidzialną ścianą, a gdyby nie pytania i odpowiedzi można by sądzić, że ten co chwila zmieniający barwę głos nagrany został na płytę; głęboki alt pełen dramatycznego napięcia.

Po chwili rwący się szept w słuchawce:

– ...nie uratujesz mnie, Don Kichocie... – jeszcze jakiś nieartykułowany dźwięk, jak gdyby spazmatyczne westchnienie, i cisza; z tamtej strony słuchawka została położona albo wypadła z ręki.

– Rozłączyła się? – zagłada koleżanka. – Na adres chwilę trzeba poczekać...

Gdy psycholog, wyprzedzając lekarza pogotowia ratunkowego, przeskakuje stopnie dzielące go od willi na Saskiej Kępie, dopiero przychodzi mu na myśl, że przecież te drzwi – masywne, z czarnego dębu, z metalową rozetą zamiast klamki – mogą być zamknięte. Ale przekrecona do oporu rozeta zwalnia zatrask i drzwi ustępują.

Mrok obszernego hallu rozrzedzają plamy nikłego światła sączącego się z chińskiego lampionu; obok wejścia szaragi z lśniącego i bardzo ciemnego, drzewa, w głębi skrzynia, wielka chińska szkatułka połyskująca laką i masą perłową, nad nią lustro w wąskiej ramie,

także z lakierowanego drzewa, w lustrze odbicie rozwartych dwuskrzydłowych drzwi i... wyprostowanej sylwetki mężczyzny.

Wszystko to Łukasz rejestruje w czasie krótszym niż mgnienie i uczucie ulgi, że ktoś nadszedł z pomocą, zanim oni zdążyli przyjechać, także trwa krócej niż mgnienie.

– Co tu się stało, na miłość boską, kim panowie są?! – krzyczy na ich widok mężczyzna łamiącym się głosem.

Olbrzymi pokój; całą ścianę na wprost drzwi zajmują łukowato sklepione okna sięgające podłogi, udrapowane firankami z białego tiulu. Nieliczne stylowe sprzęty na wygiętych pajęczych nóżkach – połysk szlachetnej polityry, matowe złoto obić i biel; w rogu pokoju kominek z marmurowym fryzem, przy nim stolik, fotel; obok na dywanie konwulsyjnie skręcone ciało.

Lekarz odsuwa z drogi szpakowatego mężczyznę, przyklęka przy leżącej kobiecie. Bada puls, wywija powieki, potem ogląda napoczętą butelkę szkockiej whisky, stojącą na stoliku. Na tym samym stoliku telefon, słuchawka, zwieszona na sznurze, opiera się o biało-złoty dywan wyściełający podłogę, obok słuchawki leży przewrócony kryształowy kieliszek.

Lekarz jeszcze raz pochyla się nad kobietą – zrezygnowany gest dłoni.

– Nie żyje? – upewnia się Łukasz, chociaż zachowanie lekarza jest dostatecznie wymowne.

– Nie żyje – potwierdza tamten. – Chyba jakaś trucizna. Trzeba zawiadomić milicję – sięga do telefonu i cofa rękę... – Może poszuka pan automatu? – proponuje Łukaszowi. – Oni nie lubią, gdy się czegoś dotyka przed ich przybyciem.

Milicja – inspektor, fotograf i technik kryminalistyki z komendy dzielnicowej – jest po kwadransie.

– Kapitan Andrzej Czyżewicz, inspektor służby kryminalnej – przedstawia się młody mężczyzna, ubrany w ociekający wodą nieprzemakalny sztormiak i gruby golf w norweski wzór.

Jest chyba w moim wieku – ocenia psycholog – najwyżej trzy, cztery lata po studiach.

– Majewski – Łukasz wyciąga do niego rękę. – To ja do pana dzwoniłem.

– Magister Piotr Paweł Łapiński – anonsuje się ceremonialnie starszy pan – kierownik działu planowania w centrali handlu zagranicznego.

– Dlaczego twierdzi pan, że to samobójstwo? – Czyżewicz z zainteresowaniem przygląda się Łukaszowi; psycholog szczegółowo opowiada przebieg rozmowy z Izą Białoń.

– Zadzwoiła kilka minut przed ósmą, kiedy przyjechaliśmy tutaj, było piętnaście po dziewiątej, ale miałem nadzieję, że ją uratujemy... – milknie przygnębiony; czuje się jak chirurg, który popełnił błąd w sztuce. Nie zapobiegł śmierci dziewczyny, bo nie potrafił nawiązać z nią kontaktu, nie umiał uruchomić psychicznych rezerw istniejących w najbardziej nawet załamany człowieku.

Technik zawija rękawy swetra, naciąga na dłonie cienkie gumowe rękawiczki; Łukasza nie opuszcza uczucie dojmującej klęski i żalu, paradoksalnego żalu do zmarłej. Wbrew woli wciąż wraca spojrzeniem do martwej dziewczyny. M u s i patrzeć.

Na jej twarzy rozmazany makijaż, niebieską pastelę nałożoną na powieki pogłębia teraz cień śmierci. Ubrana jak na bal, w wieczorową suknię z ciężkiej szafirowej mory. Głęboko dekoltowana góra i szeroka spódnica, omotana wokół nóg, obutych w płytkie czółenka z tej samej tkaniny, co suknia.

Ramię oplątane szalem z beżowej gipiury. Długie rękawiczki z tej samej koronki, wiotkie, jakby z nich także uciekło życie, zwisają z poręczy fotela, jedna zsunęła się i palcami dotyka dywanu.

Dziewczyna leży blisko kominka, gdzie niedawno musiał płonąć ogień, bo żarzą się jeszcze grube, spopieliałe głownie; twarz ma zwróconą w stronę łukowato sklepionych

werandowych okien, wychodzących wprost na ogród. Przez draperię firanek mającą za szybami nagie konary drzew targanych wiatrem.

Łukasz znów powraca spojrzeniem do postaci pod kominkiem; na przegubie ręki złota bransoletka, a właściwie kilkakrotnie okręcony łańcuszek, spięty brelokiem z koralu. Na piersiach owalny staroświecki medalion ze złotego filigranu.

– Przecież to nie jej! – woła nagle Piotr Paweł, wskazując klejnot na szyi dziewczyny.

– A kim pan właściwie jest? – kapitan Czyżewicz jak gdyby dopiero teraz zauważył Łapińskiego.

– Przecież przedstawiłem się panu.

– Kim pan jest dla zmarłej?

– Obcym! Zupełnie obcym – gwałtownie odżegna się Piotr Paweł.

– Mnie powiedziała, że jest służącą – włącza się Łukasz; przygląda się rękom dziewczyny. Technik właśnie daktyloskopuje zmarłą; mocne, szerokie dłonie ze zbyt krótkimi palcami, lecz starannie utrzymane, z paznokciami przyciętymi w kształt migdału, pokrytymi połyskliwą emalią o barwie koralu.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI